

Pismo to wychodzi
trzy razy w tydzień
to jest: w Ponie-
dzialek, Środę i
Piątek o drugiej
po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 366
Nrów wynosi Złp.
6 i przyjmuje się w
Księgarni Czecha,
w handlach Kocha
i Schreiberna.

PIĄTEK 10 LISTOPADA

N^{RA} 4.

1837 ROKU.

KRWAWY SKARB.

POWIEŚĆ.

(DALSZY CIĄG.)

V.

Nazajutrz rano Ludwik wybiegł na wolne powietrze w pole. Rozmowa, którą wczoraj miał z panną Gordon, obudziła w nim najtajemniejsze uczucia i myśli. Widząc jej lzy niewinne, słysząc jej wyrazy tchnące prostotą i religiją, odzyskał wszystkie wrażenia, jakich doświadczał w pierwszej młodości. Jakżeż się niskim ujrzał w porównaniu z tą nieskażoną duszą. Trudno znaleźć tak zepsute serce, aby widok istoty czystej nie wzbudził w niem wyższych nad poziom uczuć. Cnota pogodna, taki sam na naszych moralnych wyobrażeniach sprawia skutek, co i widok helwederskiego Apolina na naszej zewnętrznej postawie; przez chęć naśladowania dusza nam się wznosi i przybięra na

siebie godność prawie niebiańską. Nigdy więcej jak teraz nie żał było Ludwikowi jego przeszłości. Miłość Zofii budziła w nim tysiączne zgryzoty. Wiedziałaż ona komu się oddaje?... Ach! czemuż, czemuż zarobił na te wyrzuty? Więc to nie bajka, że w każdym, choćby najświetniejszym bycie przychodzi taki dzień, taka godzina, gdzie człowiek przekonywa się, że *szczęście* i *powinność* sąto dwamiana jednej i tej samej rzeczy. Jakże wtenczas wszystkie gasną uroki! jak najczystsze zatruwają się źródła! Nic już ulgi nie przynosi; westchnienia cię dławią, lzy palą. Na próżno wszystkie rodzaje uciech lejesz w swoje serce, nie zatrzymasz ich, bo uciekają jak z wiadra Danaid. Zorian tego doświadczył; samo szczęście stało się dla niego źródłem męczarni... Bez pamięci biegł w pole, chcąc utulić tę burzę. Nakoniec kiedy ból się prze-

silił, przypomnienia ucichły, powracał do Foxalu, gdzie się spodziewał zastać Zosię. W ciągu drogi, powab okolicy, miłe wspomnienia jej przeszłości, i nadzieja ujrzenia tej, którą ubóstwiał, rozpedziły tę chmurę smutku. Umysł jego łatwo przyjmujący wszelkie wrażenia, niebawem z rozpaczy przeszedł w swobodną wesołość. Mimochodem zaczął zrywać bławatki i dzikie róże na bukiet dla Zosi, i za każdym zerwanym kwiatkiem smutna myśl ulatywała mu z serca. Przynucając skocznego mazurka zbliżał się z utęsknieniem. U wystawy spostrzegł panią Bonar, z ową otyłą damą i kilkoma innymi matronami, które zdawały się składać jakiś walny sejmik. Nie mogąc je ominąć przyspieszył kroku, aby nie był zaczepiony; lecz zaledwo stanął na pierwszynie wschodzie, pani Bonar wstrzymała go za ramię: «Panie Zorian,» rzekła, «była tu mowa o panu.» — «Nie zasłużyłem na tę łaskę.» — «Opowiadałam pańskie dzieje.» — «Jako pani rozumiesz...?» — «Oto tak, że wiem całą pańską przeszłość; nie spodziewałeś się tego, nie prawdaż?» — «Pani,

rzekł Ludwik pomiészany, «to zapewne żart tylko...» — «Bynajmniej. Wiem żeś się urodził w Wilnie, żeś roku 1816 wszedł jako chirurg do służby wojskowej, wiem i to, że koledzy nazywali cię pretendentem do wielkości, a to dla tego, iż lubiłeś marzyć o dumnych celach... Czy prawda co mówię?» — «Tak wszystko prawda, że aż muszę wiedzieć, z kąd masz pani te szczegóły.» — «Czekaj, to nie dość jeszcze; wiem, że nagle stałeś się majątnym, odziedziczając summy po stryju, którego nikt nie znał.» — «Pani! Pani!» zawołał Zorian; «z kąd ta wiadomość pochodzi? Jakaż to inkwizycya nademną czuwa? Kto ci to odkrył Pani? Powiedz, powiedz; jam powinien wiedzieć, ja muszę wiedzieć.» Pani Bonar przelekła się prawie. — «Mój Boże!» rzekła; «przecież nie miałam pęci pana rozgniewać, ani się wywiadywać szczegółów jego życia; lecz zapewne muszą tu być osoby, których to więcej niż mnie obchodzi. Kawalek listu, znaleziony przypadkiem, odkrył mi to wszystko.» — «Masz go pani?» — «Oto jest.» — Zorian poznał list widziany

wczoraj wręku Zofii. Prześniłszy go, dorozumiał się, iż był odpowiedzią na bardzo szczegółowe zapytania, czyi one o jego osobie... Odkrycie to wzburzyło w nim wszystką krew i zapaliło gniewem. Myśl, że przeszłość jego, którą chciał przed całym światem ukrywać, była przez kogós tak przetrząsaną, napałała go wściekłością. Nie mogąc potłumić tych wzruszeń, przebaknął coś do pani Bonar, niby uniewinniając się, i schowawszy list, wszedł do sali.

— Zofija w oczekiwaniu, powitała uśmiechem przybywającego; lecz Zorian przyszedł aż do okna, pod którym siedziała, i nie odpowiedział na ten uśmiech.

— «O Boże! cóżto ci jest, Ludwiku?», zapytała z przerażeniem. Miasto odpowiedzi wyciągnął rękę z listem. Ona spojrziała nań, zarumieniła się i spuściła oczy. Zorian pomyślał papier i z gniewu przygryzł wargi.

— «Są ludzie,» mówił, «tak roztropni, którzy dopóty nie otwierają swego serca, aż się nie zapewnią o hipotece drugiej strony i których miłość nie objawia się tylko na świadectwo dobrych obyczajów.»

— «Ludwiku!», krzyknęła Zofija

powstając. — Lecz jej nie słuchał, i mówił dalej: — «Takie istoty nie wiedzą, iż kto nie ufa, ten pogardza; takie istoty wolą wierzyć komuś obcemu, niż człowiekowi, którego dusza całkiem do nich należy. Co sądzisz o takich ludziach, panno Gordon? — Zofija spokojnie słuchała tych wyrazów; tylko za każdym jego słowem coraz większa okrywała ją błądź. Gdy skończył, z lekka położyła rękę na ramieniu młodzieńca, i niepewnym głosem, tyle w nim było stłumionej boleści, rzekła: «Nie, ja do tego rodzaju istot nie należę, mój Ludwiku; wszakżem cię pokochała, nim jeszcze wiedziałam kto jesteś. List ten, który cię tak obraził, nie do mnie był pisany, ani jam piszącego wezwwała. Czytając go, z radości łzy mi płynęły, bo tam była twoja pochwała; mogąc usunąć nie jedną przeszkodę. Bo i na cóżby mi się przydały szczegóły twojego życia? znałam cię lepiej niż wszyscy, kochając cię taką miłością. Nie mogłam zaradzić tej ostrożności, co cię tak oburza; i prawda, jam winna, bo we mnie była przyczyna; jam winna, bo ty

ciérpisz Ludwiku; tybys mi bład przebaczył, a nieszczęścia przebaczyć nie możesz?» — Wyrazy te wyrzeczone były z taką anielską słodyczą; w każdym jéj ruchu, głosie, wéjrzeniu, malowała się prawda tak ujmująca prostotą, boleść tak szczéra, i że tak powiem skromna, że Ludwik tknięty był do żywego. Przed chwilą, w zapędzie gniewu zadaje jéj cios po ciosie, a to dziecię pokorne wyrzeka jedno słowo na obronę swéj niewinności, błaga przebaczenia, i on rozbrojony, obłany rumieńcem wstydu, bierze jéj rękę, przyciska do piersi i jak winowajca się spowiada: — «Prawda, prawda; jam szaleniec, tyś anioł Zofijo; nie bierz mi tego za złe. A ta myśl, że mi nie ufasz, uniosła mię za granicę rozsądku; daruj popędliwości. Kogoż tu winić, jeżeli nie tego podejrzliwego starca; gdiekolwiek się obróćę, wszędzie zachodzi mi drogę.» — «Wstrzymaj się Ludwiku! nie sądź go tak porywezo; czekaj póki go lepiej nie poznasz.» — «Czy może mam mu dziękować za przykrość, jaką mi wyrządził?» — «Ktożto wie, mój przyjacielu.»

— «Nie rozumiém cię Zofijo.» — «Ja téż nie chcę, abys mię rozumiał; chcę tylko, abys mi wierzył;» rzekła z nieporównaną słodyczą. Ludwik był zachwycony. — «Luby aniele, ty zawsze, zawsze masz słusność, jam tylko szaleniec z mojémi urojeniami, ja kat na twoje serce. Ale kto jak ja nie nawykł do szczęścia, ten się z niem obchodzić nie umie, i w końcu choćby najpiękniejszą dolę zepsuje. Przebac mi. Czuję to, zem ciebie niegodny...» — «Dość już, dość,» przerwała wesola Zofija, kładąc obie dłonie na ustach jęgo, które ucałował z zapalem; «przebaczam ci, ale nie grzesz już więcej.» — Kochankowie usiedli obok siebie i wszczęli rozmowę niepodobną do opisania; wyrazy wniéj bez związku, co nie mówią, jesta co mówią wiele, poważne żarciki i pieszczotne dąsy, wszystko tam było. Zdaje się, że miłość ich podwoiła swą siłę; co zwykle następuje po kłótni kochanków. Wtedyto namiętność jak dziecko rozdąsane, któremu pogrożą i przebaczą, stara się tysiącem przemileń swój bład naprawić. Zofija i Ludwik w dziecinnéj, uroczéj pogadance

zacięrali pamięć chwilowego poróżnienia. Przez sny, spomnienia, poufałości, westchnienia, śmiechy, otwierały się przed sobą te dwa serca, pod inną coraz postacią jak w kaléjdoskopie. Aż w końcu rozmowa przyszła na to: które z nich kocha lepiej, czy on ją, czy ona jego? Zwykle spór kochanków, wiecznie wszczynany, nie roztrzygnięty nigdy. — «Więcej kocham niż ty, bom ci więcej dłużny,» mówił Zorian, bawiąc się ze szarfą Zofii. — «Szczęście jest największym długiem; a tyś mię uszczęśliwił.» — «Kocham w tobie twoję słodycz, twój rozum, wyraz twych oczu, twój głos, ale ty, cóż w mnie możesz kochać?» — «Twoję miłość.» — «Ach! kochaj tę miłość Zofijo,» zawołał młodzieniec, «kochaj ją, jestto jedyny skarb, który pewnie nie stracę. Dobrze mówisz aniele, kochaj mą miłość, bo jest tak ogromną, bo najpiérwszą, jakiej w życiu doznałem.» — «Najpiérwszą,» powtórzyła Zofija wstrząsając głową; a przecież na ręce twój widzę pierścień, zapewne zadatek jakiej przysięgi.» — «Ten pierścień? o! nie bądź no zazdrosną; gdy

już stracę nadzieję posiadania ciebie, on mi się o inną postara narzeczoną; wtedy niewierność moja nie zrani twego serca: *bo cień mój błędzić będzie na skrzydłach wiatrów, okryty ciemnym obłokiem.*» — «To coś zbyt tajemniczego dla mnie.» — «Lepiej, że nie rozumiesz; to fraszki! ze mnie taki marzyciel! Ot, mówmy o czém weselszém; mówmy o przywiązaniu, bom ja nie słyszał od ciebie, czy mnie na wieki chcesz kochać?» — «Niepocziwy!» powtarzała Zofija niby zachmurzona. — «Niepocziwy... to znaczy, że cię kocham cokolwiek; czy tak? Z tém wszystkiém, pani zbyt dobrze jesteś wychowaną, abyś mię odważyła się kochać w obliczu świata; kiedy nas więcej jest w gronie, a jak wzrokiem chcę z tobą rozmawiać, wtedy spuszczasz w dół oczy jak pensyonarka, i z długich rżęsów tworzysz niby zasłonę dla serca. W waszym salonowym języku, jeśli się nie myślę, dają temu miano przyzwoitości, lecz w słowniku, piękna moja pani, po prostu stoi: obłuda.» — Zofija oburzyła się. — «Obłuda, mój aniele,» powtarzał Ludwik z uśmiechem,

«ci jeszcze jaka nielociczna obfuda; czemuż ukrywać miłość, kiedy się nie ukrywa przyjaźni? Do Korybuta uśmiechasz się otwarcie, do mnie nigdy; tę szarfę, którą trzymam, on ci darował; czyżbyś nosiła jaki dar ode mnie?» — «Co za różnica!» — «Żadnej tu nie widzę. Dla czegoż nie mógłbym doświadczać tej, co on radości? Pozwól, abym ci mógł ofiarować sprzączkę do tej szarfy; każdą razą, ujrawszy ją na tobie, pomyślę, że pamiętasz o mnie.» — «Później, później,» odrzekła, gotowa uleźć jego prośbie. — «Przyszlę ci ją dziś wieczór,» rzekł Ludwik. — Któs obcy wszedł do sali. — W godzinę potem Zorian przewracał w podróźniej swojej toalecie, i wydobyl z niej prześliczną kameę, którą Zofija wkrótce odebrała z bilecikiem mieszczącym te wyrazy: «Jestto kléjnot familijny, należał do nieboszczki méj matki, która ofiaruje go swéj córce.» — Zorian dobrze przewidział, bilecik ten rozproszył ostatnie skrupuły dziewicy; bo kiedy wieczór przeszedł do sali, gdzie było całe towarzystwo kąpiące się, spostrzegł pannę Gordon, oraz i kameę

spinającą jéj szarfę. Ludwik podziękował spojrzaniem, malującą wdzięczność i miłość. — W téj chwili wszedł Korybut. Pozdrowiwszy gości, zbliżył się do Zofii, a nachyliwszy się do niéj, w chęci powiedzenia czegoś, wzrok jego padł na sprzączkę, i zawisł na niéj. — «Co ci to przyjacielu?» zapytała Zofia zdziwiona. — «Nie widziałem u ciebie takiej sprzączki;» rzekł wskazując na nią. Zofia zmięszała się. «Jak dawno ją masz?» — «Dziś dostałam.» — Starzec zaczął się jéj przypatrywać uważnie. — «Gdzieś ją kupiła?» — «Niekupiłam jéj...» mówiła z cicha nie śmiejąc podnieść oczu. Korybut okazał podziwienie. — «Więc ci ją darowano?» — Zofia nie odpowiedziała. Starzec tém nie zadowolony, chciał jéj robić wyrzuty, lecz czując, że ani pora, ni miejsce po temu, rzekł: — «Potém o tém, a teraz na chwilę pozwól mi oglądać kameę.» — Zofia drżąca odpięła sprzączkę i dała ją starcowi, który jéj przyglądał się z osobliwszą uwagą; nakoniec, jakby sobie coś przypominał, położył palec na jedncj wypukło-

ści, przycisnął, i kamea się otwarła. Starzec wykrzyknął; Zofia z przestraczem patrzyła na wszystko co robił. — «Nie mówił ci pan Zorian,» rzekł obracając się do niej, «zkaąd ma tę sprzączkę?» — «Jestto kléjnot familijny dany mu od matki.» — «Czy to. wiesz od niego?» — «Od niego.» — Czoło starca zasępiło się. Odszedł od niej przechadzając się wielkimi krokami w głębi sali — Oczy jego padały często na Zoriana, który stojąc w oddaleniu, o niczem niewiedział. — W tej chwili jakiś młody mężczyzna opowiadał okropne swoje przygody, doznane w podróży w Azji. Korybut usłyszawszy je, zbliżył się do grona i rzekł: »Nie tylko w Azji, ale i w naszej ucywilizowanej Europie bardzo łatwo można być napadniętym i zabitym w podróży.» — »Może we Włoszech,» odparł opowiadający, «ale nie w naszym kraju, gdzie obyczaje są tak łagodne i gościnne.» — »Właśnie; że w naszym kraju, bo ja sam, niema temu lat dwanaście, byłem i napadnięty i zamordowany.» — Kobięty wykrzyknęły z przestraczu i cie-

kawości. — «Wépan zamordowany... jakimże sposobem?» — Całe grono skupiło się około Korybuta. — «Zdarzenie bardzo proste, chociaż dla mnie miało skutki nazbyt okropne. Wyjeżdżałem wtenczas za granicę w sprawie wielkiej wagi, i wziąłem ze sobą 400,000 w papierach. Przebieirając się przez lasy Świętokrzyskie chciałem odwiedzić ów sławny klasztor Benedyktynów i wcześniej na noc zajechałem do Słupi.» — Zorian, dotąd stojący na ustroniu i mało zważający na powieść starca, zdrztał na ostatnie jego wyrazy, i z wielką ciekawością zaczął nadśłuchiwać. Korybut, biorąc go często na oko, tak mówił dalej. — «Wziąwszy służącego ze sobą, puściłem się drogą do klasztoru. Szliśmy pod przykrą i krzemienistą górę, las coraz stawał się gęstszy i dzikszys, a noc zaskoczyła nas prędzéj niżem się spodziéwał. Ponure dokoła panowało milczenie, szum tylko wiatru oblatywał te bory. Widząc, że trudno mi będzie powrócić do miasteczka, zamierzylem był noc przepędzić w klasztorze. Byliśmy w połowie

drogi, gdy sługa mój, znający te strony, wskazał mi kamienną starożytną figurę, i dodał, że tu przed laty zabito jakiegoś podróżnego. Figura ta mocno wrażyła się w mój pamięci. Zaledwieśmy ją ominęli; gdy nagle usłyszałem krzyk za sobą, i kogoś upadającego; poskoczyłem co żywo, lecz już niewiem co się stało dalej, bo czułem, że mi czaskę strzaskano, i że się we krwi nurzałem.» — Słuchacze zgrozą byli przejęci. Korybut wpatrzył się w Zoriana, który ciągle stał na swoim miejscu, błądy jak na łożu śmierci. — Starzec znowu zaczął: «W parę dni potem, odzyskawszy zmysły, dowiedziałem się od poczciwych zakonników, którzy mię tam znaleźli, iż mój służący nieżył, i że szkatułki z pieniędzmi i klójnotami, którą miał w schowaniu, nieznaleziono przy nim.» — «I nieodkryto złoczyńców?», spytało razem kilka osób. — «Daremne były wszystkie poszukiwania. Jednakże nigdy nietraciłem nadziei, albowiem w skradzionej szkatułce były klójnoty

łatwe do poznania, między innymi kamea, zupełnie do tej oto podobna.» — Starzec pokazał sprzączkę, którą miał w ręku. Już ją chciano oglądać, gdy w tém Zofija krzyknęła, a Zorian, oparty o ścianę, chwiał się i tracił przytomność.» — «Co się mu stało? co się mu stało?» ozwano się zewsząd. — Korybut powstał: «Odkryję tajemnicę...» — «Ojciec mój...» krzyknęła Zofija rzucając się mu na piersi. — Starzec wstrzymał się i na poły omdlała przyjął w ramiona. Lecz na ten krzyk wszyscy osłupieli; sam nawet zmartwiały Zorian słyszał go, jak widmo ruszył się z miejsca, odepchnął tych co go otaczali, a ujrzawszy starca, trzymającego swą córkę: — «To jój ojciec! jój ojciec!» powtarzał w obłąkaniu; «o Boże, to jój ojciec!» i załamawszy dłonie, wybiegł ze sali.

(DOKOŃCZENIE NASTĄPI.)



ZAGADRA.

Odgadnijcie, jeżeli jesteście ciekawi, Trzy piecze, a cztery bawi.